Nr 7. We Lwowie dnia 14. lutego 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Prof. Marceli Nencki.

Ćwierć wieku wysoce płodnej pracy naukowej, ćwierć wieku, poświęconego w usługach najidealniejszych dóbr ludzkich, daje każdej jednostce wybitnej prawo do zwrócenia na siebie uwagi ogółu. Prawo to przysługuje też w pełnej mierze prof. Marcelemu Nenckiemu, który w warunkach wielce niekorzystnych potrafił zająć w nauce medycyny i chemji miejsce bardzo poważne.

Kiedy młodzieńcem siedemnastoletnim Nencki, porzuciwszy pierwotne swe studja filologiczne, zwrócił się ku medycynie, w tej ostatniej poczęła się era najściślejszych badań, w których stosowano z największem powodzeniem metody nauk fizyczno chemicznych. Poznawano doskonale, że objawy przeobrażeń materji w organizmach żywych istotnie są procesami chemicznemi, które mogą być badane i uprzystępnione dla naszego umysłu w podobny sposób, jak się dzieje w chemji. Świetnych przykładów płodności tej metody bjologiczno-chemicznej dostarczyli już znacznie dawniej wielcy mistrze wiedzy naszego stulecia, Wöhler, Liebig, Bernard, Helmholtz i wielu innych, lecz naprawdę dopiero od trzech dziesiątków lat praca na tem polu zawrzała w całej pełni. Powstały też nowe dziedziny badań, chemja fizjologiczna i patologiczna, chemja lekarska w najobszerniejszem znaczeniu, która rozwinęła się w naszych czasach do imponujących rozmiarów.

W tej sferze pracy naukowej imię Nenckiego zasłynęło prawdziwym blaskiem. Jeszcze przed ukończeniem właściwych kursów lekarskich próbował on sił swych w samodzielnych zajęciach nad tym przedmiotem, po zdobyciu zaś stopnia doktora medycyny w Berlinie, specjalnie dwa lata poświęcił studjom nad chemją organiczną w akademji Technicznej berlińskiej, pod okiem znakomitego już podówczas Baeyer'a. Wkrótce potem przeniósł się Nencki do Berna w Szwajcarji, powołany do tamecznego uniwersytetu na asystenta-chemika w pracowni patologicznej. Szybko na tem stanowisku zdołał się wybić i szybko przechodził kolejno wszystkie godności uniwersyteckie, aż po kilku zaledwie latach utworzono dlań specjalną katedrę chemji fizjologicznej, mianując go profesorem zwyczajnym. Przez lat 20 Nencki rozwijał najpożyteczniejszą działalność naukową w swej przybranej ojczyźnie. Grupowały się dokoła niego coraz liczniejsze zastępy uczniów ze wszystkich krajów cywilizowanych, a pracownia jego stała się prawdziwem ogniskiem, z którego rozchodziły się na świat promienie wiedzy bjologiczno-chemicznej Istotnie bo też posiada Nencki w wysokim stopniu dar doskonałego spożytkowywania zdolności swych uczniów, potrafi odgadnąć ich specjalne skłonności i wskazywać właściwe każdemu zadanie, a nadewszystko umie przelewać w nich zamiłowanie do wiedzy i nie gubiąc się zbytnio w szczegółach, ukazuje im najszczytniejsze zadania, najwznioślejsze cele nauki.

W czasie, kiedy Nencki zdobył dla siebie katedrę chemji fizjologicznej, była to dopiero druga uniwersytecka katedra tego przedmiotu. Nie wiele wcześniej podobną katedrę objął słynny Hope-Segler w Strasburgu. Nauka przez czas tych dwudziestu pięciu lat tak ogromnie się rozwinęła, że niema już dziś ani jednego prawie uniwersytetu, w którym chemja fizjologiczna nie miałaby swego przedstawiciela. Wystąpiły wobec tego na plan bliższy nowe zdolności naukowe i nauczycielskie na tem polu, liczba pracowników pomnożyła się znakomicie, zawiłość zadań i metod badania wzrosła. Jednakże Nencki bynajmniej nie ustąpił z pola, lecz wciąż widnieje w pierwszym szeregu, wciąż uznawany być musi za prawdziwie piewszorzędną powagę i wciąż przykładem swym zagrzewa do pracy i zachęca młodszych. Powaga jego tem większego nabrała

znaczenia, ile że bakterjologja, ta najmłodsza latorośl medycyny, zawdzięcza mu również mnóstwo zdobyczy naukowych, nacechowanych specjalnym kierunkiem chemicznym.

Po dwudziestu latach pracy w Szwajcarji Nencki pięć lat temu przeszło, w r. 1891 objął kierownictwo oddziału chemicznego w założonym podówczas instytucie Medycyny doświadczalnej w Petersburgu.

To nowe miejsce jego działalności w niczem nie zmieniło dotychczasowych kierunków jego pracy. Niezmordowany, odgrodzony niemal od reszty świata w murach swej pracowni, Nencki i tutaj skupia dokoła siebie liczne szeregi uczniów i w dalszym ciągu wysyła w świat coraz to nowe wieśc o odkrywanych tajnikach przyrody.

Do licznych życzeń jaknajdłuższej jeszcze i najowocniejszej pracy naukowej, jakie zewsząd w dzień swego jubileuszu otrzymuje szanowny profesor, i my swoje dołączamy, przyrzekając sobie na innem miejscu wkrótce obszerniej wyłożyć jego doniosłe zasługi naukowe.

Dr. M. Flaum.

O kwestji tak zwanej „kobiecej"
ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Rolę, do jakiej przykuć płeć żeńską pragną uczeni, w rodzaju wyżej przytoczonego autora, zawdzięczamy przesądom, datującym się z przeszłości. Do ciasnej matrycy, urobionej przez całe wieki uprzednie — wgniecioną została istota kobiety, gwałtem tresury i mocą tego, który czuł się w prawie mścić nad nią z racji swego urojonego upadku. Za niewolnictwem kobiet, za ich upodleniem musiała iść śladem koniecznym demoralizacja, upadek całych społeczeństw.

Dwa są źródła, z których czerpie kultura i cywilizacja swe środki konieczne dla postępu — są to źródła moralności i wiedzy. Atoli nie w jednostajnej mierze korzystają z nich obu tak plemiona, jak kasty i warstwy społeczne. Mogą np. egzystować narody wysoko wykształcone, które stoją jednak nisko pod względem moralności, i na odwrót, narody niecywilizowane mogą być wysoko moralnymi. Do takiej kategorji plemion, posiadających poczucie zasad etycznych, silnie rozwinięte, należą Kamczadale; ich cywilizacja stoi na stopniu bardzo niskim, a jednak moralnością przewyższają wiele narodów cywilizowanych. Kłótnia pomiędzy nimi jest rzeczą niesłychaną, żadne połajanie albo kłamstwo nie skalało ust tych ludzi, czyn kradzieży albo zabójstwa jest u nich nieznany. Drobne nawet dzieci nigdy się pomiędzy sobą nie czubią, sobie wzajemnie nie wymyślają, ani dokuczają. Jakaś delikatna uprzejmość i życzliwość ku swoim i obcym widnieje w każdym ich czynie, niemal w każdym ruchu. Miłość wzajemna łączy wszystkich w tak idealny związek, że my Europejczycy podziwiać ich tyl o możemy i pragnąć najgoręcej, ażeby i u nas tak być kiedy mogło w przyszłości.

Jeżeli się zastanowić zechcemy nad faktem przytoczonym [1]) i zważymy, że tutaj żaden z tych czynników nie miał miejsca, które uważany zwykle za konieczne dla umoralnienia ludzkości, jak religja chrześcijańska, prawa, nauki, to pomimowoli rodzi się przekonanie, że trzeba innych szukać motywów jeszcze, które są zdolne umoralnić człowieczeństwo i po za owymi czynnikami wyżej wymienionymi. Motywami tymi są i były u Kamczadalów: miłość rodziny i z niej powstały altruizm. Wiedzę, naukę, biegłość techniczną zdobyć można w szkole, w zakładach naukowych wyższych, ale moralność posiąść można tylko na łonie rodziny i wobec moralnych przykładów, które dostarczyć powinni rodzice i najbliżsi krewni. Z niemoralnych ojców i matek nie wyjdzie ród szlachetny, jak niemoralne rządy nie wychowają ludzi prawych. Często się zdaje, że dosyć jest dać dzieciom do ręki powiastki budujące, ażeby z nich wykształcić ludzi uczciwych, a to nawet przy najgorszych przykładach, jakie im dawać mogą rodzice, że następnie dostateczną czynnością społeczeństwa jest zakładać szkoły dla ludu i karmić ducha wieśniaków nabożnemi kazaniami, ażeby w nich wpoić zasady cnoty i miłości, że dostatecznemi są prawa, nakazy, nagrody i kary, ażeby umoralnić społeczeństwo. — Nie!

---

[1]) G. W. Steller, sławny podróżnik po Kamczatce w wieku zeszłym, spisywał swoje wiadomości o Kamczadalach z opowiadań miejscowej ludności kozackiej i pomimo, że najniepochlebniej o niej sam się wyraża, wierzy jednak często na słowo opowiadaniom najniedorzeczniejszym. Przepowiednie Steller'a wyrażone w słowach, które tu poniżej przytaczam, nie sprawdziły się dotąd, bo, pomimo najgorszych przykładów, Kamczadale pozostali ludem moralnym. Oto są słowa przepowiedni Steller'a, które głoszą: »So werden diese Völker desto lasterhafter werden, je schlimmere Lehrmeister sie an denen Cosaken und jakutzkischen Einwohnern haben, die an Boszheit, unglaublicher Arglistigkeit, Betrug, Verstellung und Grausamkeit so weit von anderen sibirischen Einwohnern und gebohrnen Russen entfernet, als die Schlangen von den Tauben«. (Beschreibung von dem Lande Kamtschatka. 1774. pag. 886). »Je mehr die Itälmenen« (Kamczadale) »mit den Cosaken conversiren, je näher sie um die Ostroge wohnen, je grössere Freunde sie von denen Cosaken und russischen neuen Sitten sind, desto betrüglicher, lügenhafter, heimtückischer und verstellter sind sie: je entfernter desto

wszystkiego tego za mało! — Chcąc uszlachetnić rodziny, warstwy socjalne, całe społeczeństwa, trzeba żywych przykładów cnoty w łonie rodziny, w wyższych warstwach narodu i w rządach. Prawa etyczne powinne być szanowane przez wszystkich i przez każdego. Żaden cel, nawet pozornie najszlachetniejszy np. wielkość »Germanji«, nie uświęca środków nikczemnych: Hakatyzmu, Bismarkizmu, Bosseizmu. Trzeba raz przyjść do przekonania, że nauka najbardziej zbawienna, wypowiadana przez usty niegodziwe, żadnego skutku mieć nie będzie. Podniesienie godności najważniejszego czynnika moralności — kobiety jest nieodzowną koniecznością. Rola niewiasty, jako istoty bardziej wyposażonej altruistycznymi pierwiastkami, niż istota mężczyzny, powinna być dominującą wszędzie. Jeżeli wszakże dzisiaj, po tyle wieków trwającem denaturowaniu osobistości kobiecej robią się wyrzuty niewiastom, że są takie, a nie inne, że nie są godne zajęcia miejsca im przynależnego w społeczeństwach, to przecie łatwo jest widzieć, gdzie przyczyny takiego stanu rzeczy szukać należy.

W pewnej mierze możnaby uważać za słuszne owe uwagi obserwatora, patrzącego z góry na rezultat niewolnictwa wiekowego, a którym są obecne kobiety nasze modne, gdy powiada: »co pocznie największy genjusz dłuta wobec tych skurczonych stop, zeschłych łydek, przewężonych gorsetami u dołu, a zapadniętych u góry torsów, lub wobec tych cudacznych kapeluszów, przybranych wiązką ptaków, tych ogromnych worków na rękach, tych spodnic lejkowatych, tych bawolich grzywek i żydowskich pejsów?! rzeczywiście Apollo nie potrafiłby wyzyskać takiego modelu dla sztuki«, ani też skarłowaciały umysł takich kobiet nie dostarczyłby, zdaniem naszem, żadnemu filozofowi wzorów, potrzebnych dla odtworzenia ideału umysłowości ludzkiej. »Modne kobiety stanowią«, według słów autora uprzednio wspomnianego, »zawsze plamy na wspaniałym płaszczu wiosny«, również dodać możemy od siebie, że one tworzą także plamy i na dzisiejszej dziurawej mantji cywilizacji naszej. Ale co jest najsmutniejszem w tem wszystkiem, to konieczność z naszej strony przyznania się do winy, do wypowiedzenia przekonania, że mężczyźni są tych plam powodem, bo są bezpośrednimi ich sprawcami. Jaki popyt, taką jest i podaż, jakie mieć sobie życzyliście, takie i macie, boć chyba jasną jest rzeczą dla każdego myślącego człowieka, że działalność takiego czynnika, jak dobór płciowy, a który się zasadzał przez wieki całe na tem, że poszukiwano »gąsek« byleby »pięknych«, lub nawet »garbatych« byleby »bogatych«, nie mógł ujść bezkarnie, bo gdy ułomności umysłowe uważane były za zalety, a ułomności cielesne za nic nieznaczące przywary, byleby były kompensowane bogactwem materjalnem — to najprostszym rezultatem takiego siewu, musiało być zwyrodnienie.

Lecz niech się zmieni tylko niewłaściwe postępowanie nasze, niech się zmienią nasze przesądy i wierzenia barbarzyńskie, pozwólmy i starajmy się o to, ażeby istota kobieca rozwijała się swobodnie, w innych, warunkach niż obecne, pod innemi hasłami doboru płciowego, a wtedy drzemiące dzisiaj strony dodatnie charakteru zbudzą się do życia — zamiast kobiet tz. »modnych«, a które mienią szyderczo sami mężczyźni »lalkami salonowemi, bezmyślnemi, wytynkowanemi, wysznurowanemi i ugrzywionemi«, będziemy mieli istoty myślące o silnych moralnych indywidualnościach, przy pomocy których rozwój społeczeństw pójdzie raźniej naprzód.

Nie mamy powodu biadać z pesymistami, że ponieważ rozwój rodowy ma się rzekomo odbywać w jednym tylko kierunku (orthogenetycznym), więc wszelka degradacja niema już żadnej nadziei przed sobą i musi kończyć się zniszczeniem. Otóż na mocy faktów poznanych, o których była mowa uprzednio, świadczących o mylności takiego poglądu, widząc — że użyję tutaj powszechnie znanego przykładu — iż nawet kaczka domowa przy warunkach, sprzyjających jej rozwojowi, nabiera większej ilości materji mózgowej, dostaje dłuższych skrzydeł i staje się zdolną do życia samodzielnego, możemy śmiało patrzeć w przyszłość, twierdząc, że z dzisiejszej istoty kobiecej i z istoty męskiej, które nazywają zwyrodniałemi, potrafi się przy pomocy kultury dodatniej utworzyć ideały kobiecości i męskości takie, o jakich już marzyć dzisiaj mamy prawo, bo je już sobie uświadomić potrafiliśmy.

---

mehr natürliche Ehrlichkeit und Tugenden trift man noch unter ihnen an«. (l. c. p. 285). Sami sybiracy czyli włościanie syberyjscy określają dosadnie wpływ cywilizacyjny, jaki wywierają na plemiona tubylców. I tak zwykle, gdy chcą zaznaczyć, iż ludzie danego plemienia są szlachetni i moralni, to powiadają, »że oni jeszcze nie abrusieli«. Niestety, cywilizacyjna akcja Europejczyków zaczyna się i kończy na absolutnej demoralizacji plemion »podbitych«, bo nie idea braterstwa, nie altruizm jest kierownikiem akcji całej, ale brutalny, barbarzyński egoizm, dający się streścić w wyrazach znakomitego satyryka »zgnieść, zniszczyć i zgładzić«. Kamczadale po dwóch wiekach trwającej cywilizacyjnej działalności przybyłej ludności obcej, nie mogą do dziś dnia przyswoić wielu pojęć im narzuconych. I tak np. utrzymują oni wbrew nakazom władz, że i kobiety mają duszę. Otóż gdy jeden z naczelników, świeżo przybyły do Kamczatki, zapytał »Tojona« ile ma dusz, ten odpowiedział zrazu naiwnie, że ma jednę; gdy mu następnie rozgniewany naczelnik wytłómaczył, że nie o jego duszę mu chodzi, ale jego podwładnych, wtedy to odpowiedział, że ma 60 dusz podwładnych, gdy na zasadzie wykazów statystyki miejscowej miał 20 mężczyzn, więc tylko 20 dusz według rachunku oficjalnego. Długie objaśnienia naczelnika, mające na celu przekonanie tojona, że tylko mężczyźni są duszami obdarzeni, nie wywarło żądanego wpływu i pozostał »tojon« przy swojem zdaniu, twierdząc, że najniesłuszniej odmawiają duszy kobietom.

W skład indywidualności idealnych, o których mowa, wejść muszą w pierwszym rzędzie szczera miłość rodziny, miłość ludzkości, miłość wszechświata, pogarda siły brutalnej i gwałtu, gotowość poświęcenia mienia i życia w celu osiągnięcia najwyższego dobra dla człowieczeństwa — wolności dla wszystkich i dla wszystkiego, co uznajemy na mocy logicznego myślenia za prawdę, słuszność i sprawiedliwość.

Do tego ideału dzisiaj dążyć winniśmy, zaś pierwszym warunkiem na drodze do niego jest równouprawnienie kobiet i świadoma swych celów i środków racyjonalna kultura społeczeństw w duchu braterstwa wszystkich ludów, w duchu zgody, równości, miłości, szczerości i prawdy.

(Dok. nast.).

W zimową burzę

(Gawęda przy kominku).

(Ciąg dalszy).

Widziałam ich zbliska, jak stali tak u gasnącego ognia, w tej szalejącej burzy, pod napływającemi ciemnościami nocy, samotni na tem pustkowiu. Pamiętam, Ihnat pierwszy zbliżył się do nas i stanął obok spienionych koni, które zdyszane, same nieledwie szły do ludzi, na ogień.

— Nie pojedziecie dalej, paniczka — ozwał się schrypłym od chłodu głosem.

— Dlaczego? Las przebyliśmy, chwała Bogu, szczęśliwie, a stacja już przecie blisko.

— Nie pojedziecie, — powtórzył z naciskiem.

— Dlaczego?

— Nie kazano.

— Kto nie kazał?

— *Naczalstwo*, wiadomo.

Inni zbliżyli się także i obstąpili sanki.

— Co za *naczalstwo?* Lecz co wy tu robicie na taką zamieć, w nocy?

Nie zrazu odpowiedzieli.

— »Czuhunki« pilnujemy — ozwał się jeden, patrząc jakoś w stronę, ponuro. — Car będzie jechał, kazali pilnować.

Słowo za słowem rozgadali się wreszcie i dowiedziałam się, że któregoś z tych dni, niewiadomo kiedy, car będzie wracał z Krymu. Zwyczajem Aleksandra III. droga cała strażą musiała być ustawiona. Przez całą Rosją, z Petersburga do Krymu, zwykle wyciągnięty stał kordon żołnierza obecnie zaś, wyjątkowo po którymś z zamachów, straż podwojono i co kilka wiorst stały placówki wieśniacze. Trzy dni już to trwało; przez trzy dni nikt nie śmiał tędy ni przejść, ni przejechać; nawet baby wioskowe ciepłej strawy lub odzieży przynieść chłopom nie mogły; warta dostawała obiad z tej stacji kolei, jaka najbliżej się znajdywała.

— I tak stoicie przez trzy dni i noce, z miejsca się nie ruszając? — spytałam.

Milczeli, nie patrząc na mnie.

— A jakże dziś? Noc będzie straszna. — Będziecie stali?

— Będziemy stali — odpowiedzieli wszyscy w głos jeden z mocą, ponuro. Zdało się mnie, że to las sosnowy odpowiada burzy: będziemy stali...

Wszakże, mimo ostrzeżenia dalej jechać kazałam; lecz już o wiorstę może natknęłam się na kordon żołnierza i tu już nie było rady, zawrócić musiałam. Znowu więc poszliśmy z polnym wichrem w zapasy, który z ciemniejszą nocą coraz zuchwalszy się czynił. Czyśmy jechali drogą czy polem — niewiedzieliśmy zgoła; konie nas wiodły same do domu.

I znowu otwarła się przedemną czarna czeluść lasu, zmącona i groźna. Pod trzeszczącemi sosnami sunęliśmy, co można najprędzej, a leśny tytan huczał w głębi, trząsł lasem i groźny, zuchwały, zbliżał się.. Gdym zwróciwszy się, za siebie spójrzała, w długiej perspektywie drogi leśnej, na polu, hen, migało światełko czuwającego Ihnata.

. . . .

Znałam ja tego Ihnata bardziej z opinji, niż osobiście. Ponury był chłop i zacięty. Mimo młodego wieku, przy wielkiej powadze, smutek od niego bił wiecznie. Wyniosły i smukły, nie miał tej zwykłej rozłożystości bark białorusina, co to zdaje się z niedźwiedziem szedłby w zapasy, lecz pierś miał szczupłą i mówiono, że zdrowia nie był mocnego. Odznaczała go jakaś senna powolność, w ruchach niezwinność, widząc, jak robota mu się w ręku nie sporzy, można byłoby mniemać, że jest leniwy, że jest ospały, lecz należało tylko spojrzeć mu w oczy.

Te ciemne, głębokie oczy patrzyły jakoś szczególnie. Marzące, w sobieześrodkowane, z myślą tęskną a mocną zdawały się słać spojrzenie z bogatych, tajemniczych głębin ducha. Senności nie było w nich zgoła, przeciwnie znać w nich chociaż powolną i niezbyt ruchliwą, lecz ciągłą robotę myśli. Nie był rozmównym.

Można wszakże było sądzić, iż nie to, że nie umie, lecz że nie lubi mówić, bo jeśli co powiedział, to było i dobrze pomyślane i poważne. Nie miał w sobie jednak nic z tego, co składa się na pojęcie dobrego gospodarza — owszem zdawało się, że właśnie zbywa mu na tych rozsądnych, zdrowych poglądach, na których tak zwany chłopski rozum polega. Z otaczających go zjawisk życia i przyrody nie umiał zapewne wyciągnąć wniosków ani zastosowań

praktycznych, lecz traktował je kontemplacyjnie, jako objawy oderwane, zgoła nic wspólnego ze zużytkowaniem ich nie mające.

Rzadko przychodził do dworu. Zdarzało się to niemal tylko wtedy, kiedy potrzebował prosić o jaką pożyczkę, czy to grochu, czy ziemniaków lub mąki.

Podziwiałam wtedy, jak mógł całemi godzinami wystawać przy bufecie, zanim państwo nie ukończą herbaty, milcząc i jedynie przyglądając się nam nieznacznie, lecz uważnie. Podczas, gdy jego towarzysze — nigdy bowiem nie przychodził jeden — wiodą z dziedzicem ożywioną gawędę, on tylko spogląda z za nich swemi myślącemi oczyma i zdaje się porządkować wrażenia. Lecz umiał przestać ich wszystkich. Umiał nie wiele mówiąc, usposobić życzliwie względem siebie dziedzica, który, mimo iż niechętnie, mimo nawet żywego zrazu protestu, w końcu ulegał jego prośbie; kazał mu wydać żądany produkt, nie zaniechawszy wszakże dorzucić, iż z góry przekonany jest o jego nieakuratności w oddaniu.

Ihnat dziękował, jak dziękują zwykle białorusini, nie kłaniając się, rąk nie całując, jedynie prostem słowem, i zapewnieniem, że postara się w porę odsłużyć. Postara się! To słowo zbyt widać rozciągliwem było w pojęciach Ihnata, a może tylko niemożebnem do wykonania. Nadchodzi bowiem lato, przychodzą dni odrobku — Ihnata niema i niema. To mu się jakiś wypadek nadarzy, to stanie gdzieindziej do roboty za gotówkę, to nawet za byle grosz do żyda się zgodzi, byle coś nie coś naprędce zarobić. A jeśli kiedy stawi się do dworu, to nigdy wcześniej, jak już z lasu bydło wysypie się na ugory, aby wolnym marszem, pogryzując trawy, na południowy skwar ku oborom ciągnąć. Co prawda, ze wsi do dworu była dobra mila, a Ihnat szedł niesporo.

Nieraz, bywało, dziedzic się zatnie i o nowych pożyczkach gadać sobie nie da — to wtedy za przypłotkami, ogrodowym szlakiem, tuląc się do płotu, sama jak płot szara, strzegąc się psów, a może oka dziedzica, przesmykuje matka Ihnata, stara Szczerbaczycha. Była to osobistość różna nieco od wszystkich bab wioskowych. Za czasów swej młodości kręciła się koło dworu, pozostało więc jej cośkolwiek z dworskiego obejścia się. Zręczną była przytem i obrotną, a przedewszystkiem wymowną. Jej syn pewno w ciągu całego roku tyle słów nie wypowie, co ona przez jeden ten ranek, gdy tak stanie u okna w kuchni i rozpocznie gawędkę z kucharką, z pokojową, z ochmistrzynią z każdym, kto się do kuchni nawinie. Pierwej, czy później pani do kuchni zajrzy, a jeśli nie, to Szczerbaczycha potrafi przez kogo bądź zainteresować ją swem przyjściem. Dziedziczka nie lubi chłopów; w jej mniemaniu jest to najchytrzejsza, najniemoralniejsza »rasa«, a co gorsza zajadły wróg dworu i wróg poważny. Jest bowiem przekonania, że prawdziwymi i prawymi właścicielami ziemi są jedynie chłopi, oni na niej własnemi rękami pracują i oni wszelki plon z niej dobywają; przyjdzie więc kiedyś chwila, że dopomną się o swoje prawa własności. Otóż o czasie tym dziedziczka myślała z przerażeniem i szczerze, z całym wstrętem zagrożonego przeciwnika nienawidziła chłopów.

Nienawiść swą wszakże stopniowała, a to w miarę użyteczności, jaką niektóre osobniki przynieść jej mogły. Takim właśnie wielce pożytecznym osobnikiem była Szczerbaczycha. Obrotną była zarówno jak w języku, tak i w rękach. Żadna wielka robota dokonywana we dworze, ani plewo warzywnych ogrodów, ani pranie bielizny, ani pieczywo przed świętami, ani szatkowanie kapusty nie obeszło się bez Szczerbaczychy. Przebaczały się jej nawet pewne, mniej więcej zręczne machinacje, dokonywane przy tych robotach, w celu przysporzenia okruchami własnego dobytku; — była tak wielce pomocną, że nawet oszczędna i czujna dziedziczka stawała się w tych razach niewidzącą. Prócz tego dostawały się jej niekiedy datki, w postaci starej odzieży, bochenka chleba lub paru główek kapusty. Bo cała majętność Szczerbaczychy i jej syna zawierała się w małej, malusieńkiej chatynce, przykucniętej na skręcie drogi do wioski. Ani zagonu pola, ani grządki ogrodu pozatem. Chatynkę tę dostała za jakieś usługi jeszcze od nieboszczyka starego dziedzica, chatynkę, lecz nic więcej. Dach był nad głową — Boże odpuść co za dach! i krzywy i łatany, i dziurawy jak sito — a co do wyżywienia siebie i syna, no to już jak ptaki niebieskie... Lecz między wolnym ptakiem w bogatych przestrzeniach powietrznych i rolnych szukającym łatwego pokarmu, a Szczerbaczychą starą »n i e d u ż ą«, do chaty przyrosłą, była pewna różnica — o, była! Różnica też była między tą szarą, przygarbioną, o zgrzebłych spracowanych palcach, w obszarpanej odzieży wychudłą babulą — a wonną liliją polną, ciągnącą swój królewski przepych z ziemi i atmosfery. Różnica właśnie była w tem, że ani z ziemi, ani z atmosfery Szczerbaczycha nie ciągnęła nic; ze dworu tylko, raz na miesiąc po parę złotych i coś nie coś z własnej przy robocie pomysłowości lub dobrowolnego datku pani. I tem trzeba było żyć, żyć we dwoje.

Ihnat wprawdzie mógłby jak każdy inny zarobić. Ale w przeciwieństwie do matki robota jego była jakaś i niezręczna i niesporna. Z rąk mu, jak to mówią, padało. A prócz tego, co zarobił, jakoś tak po świecie rozpuścił, że sam nie wiedział, gdzie się to podziało. We wsi poważania wielkiego nie miał, bo był i nieobrotny i taki nędzny — patrzeć tylko, jak torbę i kij weźmie i pójdzie od wsi do wsi. Wówczas tylko jak w niedzielę za stołem w karczmie zasiędzie, a gorzałka go rozmarzy — rozmarzy tylko, bo do pjana nie pił nigdy — język mu się rozwiąże

i pocznie prawić, albo opowieści jakie, albo własne sentencje i krytyki społecznych stosunków, no, to chłopi słuchają i potakują mu radzi. Arendarz Berko o tych posiedzeniach zwykłą relację składał we dworze, kiedy w poniedziałek zjawiał się z butlem »berkówki« własnej fabrykacji, gdzie na jednę trzecią gorzałki szło dwie trzecie wody.

Otóż gdy Ihnat nic już nie miał, a ani dziedzić dać artykułami, ani Berko na procenty pożyczyć nie chciał i w czarnej chacie cztery krzywe ściany szczeremi pustkami świeciły, a piec chłodną, pustą czelnością patrzał, wtedy Szczerbaczycha dokonywała swojej wyprawy do dworu. I mogę zaręczyć, że nie wracała z próżnemi rękami. Jak tam umiała poradzić sobie z dziedziczką, która żadnego datku większego, ani pożyczki nikomu nie ofiarowała, to już jej tajemnica, dość, że widywałam ją popołudniu, jak wracała drogą do wsi zgięta na swym kiju z workiem na plecach albo dużem zawiniątkiem pod ręką.

Lubiłam czasem zajść jej drogę i zaczepić ją powitaniem. Wówczas stawała i po paru nieuniknionych komplementach, co widać uważała za szczyt dworskości, opowiadała mi cośkolwiek. Opowiadała zwykłe, proste rzeczy ze swego bytu, spokojnie i bez podziwiań, jak mówi się o rzeczach naturalnych i codziennych — ale mnie słuchając jej nieraz skóra cierpła i dreszcze biły. Boże sprawiedliwy! toż żyją na ziemi takie nędzne robaki, bez możności, zdaje się, życia, bez sprawiedliwości, bez miłosierdzia, bez chleba — łzami, pokrzywdzeniem żyją...

Jakoś pod wiosnę, w roku tej strasznej zamieci, o której na początku wspomniałam, spiesząc z przechadzki, zetknęłam się z wracającą ze dworu Szczerbaczychą. Niosła tłomoczek pod ręką, dreptała spiesznie twardym brzeżkiem piaszczystej drogi i pokaszliwała z ciężkim w piersiach oddechem. Zatrzymałyśmy się, powitały i babula zaraz stanęła do gawędy. Zdziwiło mnie, że od dłuższego czasu nie widziałam jej we dworze, a teraz uważam, że schudła bardziej jeszcze i oczy głębiej usunęły się jej w głowę. Czy chorowała? Pokiwała głową.

— Nie ja, paniczka, nie ja... — odrzekła z westchnieniem i wnet żywiej dodała.

— Czyż to pani nie słyszała, że Ihnat tak ciężko chorował? Jakże to może być? Toż taka długa i straszna była choroba.

— Nie, nic nie słyszałam.

— O, chorował, i jak chorował! To tylko już taka wola boską, że wyzdrowiał, bo zupełnie był gotów do śmierci.

I poczęła mi opowiadać co za ciężkie dni przeżywała, kiedy Ihnat bez mała sześć tygodni w gorączce takiej przeleżał, że ludzi nie poznawał i trzeba było drzwi i okno mocno zaparte trzymać, bo się zrywał z łóżka i lecieć kędyś chciał.

»Chfelczer?« Gdzież tamby »chfelczer« zechciał do niej przyjechać! Raz tylko, jak kędyś przez wieś przejeżdżał, ledwo go uprosiła, aby wstąpił poradzić co Ihnatowi. Zaszedł na chwileczkę, popatrzał, popatrzał i powiedział, że albo wyzdrowieje albo zamrze. Przykazał głowę mokremi płachtami okładać i lekarstwo z apteki sprowadzić.

»Gdzież mnie tam biegać do apteki, dziesięć wiorst z okładem do miasteczka, tożbym i do wieczora nie zdążyła, a tu jego samego w chacie porzucić nie sposób«.

Więc się skończyło, że tylko okłady na głowę kładła. A jednak trzeba było felczerowi dać sześć jaj, jedyne sześć jaj, co miała popadzi zanieść, aby trochy krup wyprosić na krupnik dla chorego i dla siebie, bo w chacie nic już nie było.

(C. d. n.) *W. Dalecka.*

TADEUSZ KORZON.

WEWNĘTRZNE DZIEJE POLSKI
za Stanisława Augusta.

(Dokończenie).

Wprawdzie za sejmiku księstwa mazowieckiego w r. 1587-ym pokazywano sobie mapę Polski już sporządzoną z rozkazu Zygmunta Augusta, ale te dawne plany nie stanowiły mapy kraju trygonometryczno - astronomicznej, któraby mogła służyć za podstawę do obliczenia powierzchni. O sporządzeniu dokładnej mapy Polski pomyślał dopiero ks. Jabłonowski wojewoda nowogrodzki, który około r. 1750-go przebiegał różne części kraju z orszakiem biegłych geografów. Jabłonowski, dostarczył Rizzi Zannoniemu, geografowi króla neapolitańskiego, wielu cennych rękopisów, i tenże na podstawie dostarczonych mu materjałów ułożył wielką mapę, czyli raczej atlas Polski. Piękna ta praca wydana została w r. 1772-gim, ona to służyła za podstawę dla czynności podziałowych, ale, jak się to później pokazało, od dokładności była jeszcze daleką. W roku też 1790-ym Jan Śniadecki i Feliks Radwański, jako profesorowie akademji krakowskiej, oświadczyli gotowość do zrobienia mapy krajowej na zasadach ściśle naukowych, ale do wykonania projektu już nie przyszło.

Prof. Korzon był zatem zmuszony do odszukiwania późniejszych obliczeń powierzchni, z których wszystkie miały tylko większy lub mniejszy stopień prawdopodobieństwa. Porównywając je też rozważnie ze sobą, autor przyszedł do przekonania, że rozległość Polski w r. 1772. wynosiła 13 300 mil. kw., w roku 1774. pozostało krajowi jeszcze około 9.438 mil kw. rozległości. Posiadała więc jeszcze wówczas Polska, zdaniem prof. Korzona, terytorjum wyrównywające prawie rozległości Francji, jakkolwiek pod względem cech geograficznych, wielka zachodziła między dwoma krajami różnica. Pod względem bowiem ekonomicznym miała Polska warunki fatalne, pod względem zaś strategicznym cała granica stała wszystkim otworem i nie nastręczała państwu nigdzie obrony naturalnej.

Załatwiwszy się z rozległością, prof. Korzon poświęcił uwagę ludności państwa polskiego, która wymagała jeszcze większego natężenia pracy, albowiem nie daje się obliczyć z taką dokładnością, jak powierzchnia, która pozostaje przez wieki ilością stałą. W Polsce można było wprawdzie natrafić na ślad popisów w XVI. wieku, ale w XVII. stuleciu o żadnych próbach nie słyszymy, a za Sasów bezrząd czynił je wprost niemożliwemi; upadek zaś oświaty sprawił, że do panowania St. Augusta żaden pisarz nie pokusił się nawet o przypuszczalne obliczenie ludności. Dopiero w trzeciej ćwierci XVIII. w. napotykamy hypotezę Süssmilcha, powtórzoną przez Büschinga w jego geografji Polski, tłumaczonej i wydanej w r. 1768. Podług tej hypotezy Polska miała posiadać 12 miljonów ludności, chociaż nie podano bynajmniej podstawy do powyższego obliczenia.

Wobec braku cyfr, mogących mieć jakąkolwiek powagę urzędową, wpadł prof. Korzon w istny labirynt hypotez, z którego wybrnął zwycięsko dzięki swej niestrudzonej pracowitości. Obliczając ludność podług stanów i wyznań, autor musiał się posługiwać bardzo licznemi pracami statystycznemi, z których niektóre ukazały się bardzo późno, bo np., jak obliczenia Obruczewa, dopiero w r. 1875. Pominąć muszę nawet najgłówniejsze cyfry, do jakich prof. Korzon doszedł po bardzo mozolnych badaniach i kombinacjach, nadmienię tylko, że autor nie poprzestał bynajmniej na podaniu ogólnej liczby ludności i poszczególnych stanów oraz wyznań. Znajdujemy przedewszystkiem w »Wewnętrznych dziejach« prof. Korzona scharakteryzowany dokładnie: czy to pod względem społecznym, czy politycznym, czy ekonomicznym, każdy stan, każde wyznanie w kraju naszym. Takie wszechstronne ocenienie, w połączeniu z ilością wyrażoną w cyfrze, podaje czytelnikowi dokładne wyobrażenie o sile i o żywotności państwa polskiego w dobie panowania Stanisława Augusta i przyczynia się niewątpliwie w wysokim stopniu do gruntowności i przedmiotowości historycznych sądów.

W rozdziale III. i ostatnim pierwszego tomu, zastanawia się prof. Korzon nad rolnictwem i rolnikami, przypominając na wstępie, że w XVI., a nawet w XVII. wieku uważano Polskę za śpichlerz Europy i porównywano ją z dawnym Egiptem i Sycylją. I w tym rozdziale cennego swego dzieła zdobywa sobie prof. Korzon uznanie zupełne czytelnika, przedewszystkiem niestrudzoną pracowitością, z jaką zebrał tyle ważnych cyfr statystycznych, dotyczących produkcji zbożowej, i tyle ciekawych wiadomości, dotyczących stanu gospodarstw rolnych w różnych dzielnicach dawnej Polski. Sprawa włościańska za panowania Stanisława Augusta znalazła w prof. Korzonie bardzo starannego i sumiennego historyka, i w całym rozdziale rolnictwu i rolnikom poświęconym znajdujemy wiele interesujących spostrzeżeń i faktów, które do lepszego oświecenia panowania Stanisława Augusta znakomicie się przyczyniają.

Rozstając się z pierwszym tomem »Wewnętrznych dziejów«, nadmienić winienem, że nieco trudna forma wykładu prof. Korzona nie powinna zniechęcać czytelnika do zapoznania się najbliższego z treścią pracy. Bogactwo niezaprzeczone i wielkie dziejowej treści wynagrodzi niewątpliwie każdego, kto przeczyta tę pracę od początku do końca. Nietylko bowiem, że się powiększy wiedza czytającego, ale nauczy się on wyrozumiałości i uczuje skłonnym do mniej surowego a sprawiedliwego sądu, albowiem z takim się zawsze spotka w dziele prof. Korzona. Dla nauki tom pierwszy »Wewnętrznych dziejów« ma niezaprzeczone znaczenie, a zwłaszcza pod względem ekonomicznym i społecznym przynosi on nam dużo nowego światła i wiele ciekawych spostrzeżeń. Należy też tylko życzyć autorowi, aby swoje cenne i pożyteczne »Wewnętrzne dzieje« ukończył jaknajprędzej w powtórnem wydaniu.

(Kurjer Warszawski.) *A. Rembowski.*

Targ o Polskę.

W pierwszym tegorocznym zeszycie Kwartalnika historycznego podaje p. Askenazy urywek z korespondencji między dyplomacją rosyjską a francuską w r. 1809 i 1810, dotyczącej Księstwa warszawskiego i losów Polski wogóle. Noty owe i depesze dobrze odsłaniają istotne zamiary względem Polski zarówno Napoleona, jak i Aleksandra I, a mają tem większe znaczenie, że wprawdzie »legenda napoleońska« należy u nas

już do niepowrotnej przeszłości, to jednak wciąż jeszcze znajdują się autorowie, gotowi dla celów polityki bieżącej rehabilitować stanowisko i zamiary Aleksandra I. względem Polski *).

Dokumenty opublikowane w Kwartalniku mają na celu oświetlenie jednego z donioślejszych epizodów polskiego zatargu między Napoleonem i Aleksandrem : niedoszłą konwencję pogrzebową o Polsce z r. 1810. Dnia 4. stycznia t. r. — pisze p. A. — poseł francuski Caulaincourt ks. Vicenzy i kanclerz rosyjski hr. Rumiancow podpisali w Petersburgu konwencję w ośmiu artykułach, mającą przypieczętować na wieki losy dawnej Rzeczypospolitej. Artykuł pierwszy miał takie brzmienie: »Królestwo polskie nie będzie nigdy odbudowane«. Artykuł drugi ogłaszał: »iż imię Polski i Polaków... zniknie po wszystkie czasy ze wszelkich aktów urzędowych i publicznych«. Artykuł piąty zapowiadał, iż »Księstwo warszawskie nie otrzyma w przyszłości żadnego przyrostu terytorjalnego w zakresie ziem dawnego Królestwa polskiego«.

Jak z korespondencji widać, Księstwo warszawskie było cierniem w oku Rosji. »Idea odbudowania królestwa polskiego, pisze Rumiancow — kiełkuje w umysłach mieszkańców Księstwa warszawskiego. Ma ona tam charakter nie utajonego życzenia, ale przeciwnie, występuje jako otwarta nadzieja, w jej imię powołują do krucjaty itd.«... Na znane słowa Napoleona, że pomimo możliwych nieporozumień co do spraw polskich *„le monde était assez grand pour s'arranger“* odpowiada Aleksander wyraźnie, że »jeżeli ma być mowa o odbudowaniu Polski *„le monde n'est pas assez grand pour nous arranger“*...

Gdy 14. października 1809 podpisany został pokój między Francją i Austrją, kanclerz Rumiancow w nocie do Caulaincourt'a z dnia 3. listopada t. r. biada nad warunkami tego pokoju, nad obszernymi nabytkami galicyjskimi dla Księstwa, pisząc, że prawie dwa miljony poddanych podniosą potęgę Księstwa warszawskiego, pomnożą jego siły i podsycać będą przekonanie jego mieszkańców, które podziela zresztą opinja całego świata, że przeznaczeniem Księstwa jest odbudować Królestwo polskie«... W tejże nocie domaga się już Rumiancow stanowczo konwencji, któraby w niewątpliwy sposób dawała poręczenie, iż takie odbudowanie nigdy nie nastąpi.

I zamysły Aleksandra w samej rzeczy bliskie były urzeczywistnienia. 25. listopada pisze Champagny (ks. Cador), minister spraw zagranicznych Napoleona, do posła Francji, iż cesarz upoważnia go do zawarcia żądanej konwencji, do zupełnego usunięcia terminów »Polska« i »Polacy«, do zgodzenia się na wszystko, co miałoby na celu zagładę wszelkiej idei odbudowania Polski. W tej samej ekspedycji, Champagny poleca Caulaincourt'owi czynić starania o rękę Anny Pawłówny, siostry Aleksandra, dla Napoleona.

Ze sprawozdania Caulaincourt'a z dnia 5. stycznia, w którem donosi o podpisaniu tej konwencji, widać, że żądania Rosji w szczegółach szły bardzo daleko, aczkolwiek ostatecznie nie znalazły miejsca w konwencji. Aleksander żądał, naprzykład, aby Księstwo uznane zostało wprost za prowincję Saksonji, aby żaden Polak (mianowicie ks. Józef Poniatowski) nie mógł być namiestnikiem króla saskiego itp.

Ostatecznie Napoleon odmówił ratyfikacji tej umowy, a znowuż jego kontrprojekt został odrzucony w Petersburgu. Nowy kontrprojekt rosyjski z marca r. 1810 został ponownie odrzucony w Paryżu.

»Napoleon pojął Austrjaczkę, Aleksander rozpoczął zbrojenia i od tej chwili między nimi rozprawa śmiertelna jest tylko kwestją czasu« — pisze p. A.

W miarę pogłębienia poszukiwań co do stosunku między Rosją a Francją w okresie pierwszego cesarstwa, do czego cenny przyczynek daje w swym artykule p. Askenazy, ustala się pewnik historyczny, że w owym stosunku od pierwszej chwili, aż do ostatniej, jak zaznacza p. A. — od rokowań pierwszego konsula w materji zniesienia legji polskich, aż do biuletynu wielkiej armji, ogłaszającego przeciw Aleksandrowi »drugą kampanję polską«, sprawa polska nietylko odgrywała rolę niepoślednią, ale była dominującą i wszechobecną, stanowiła bądź czynnik, łączący wśród najzaciętszej nieprzyjaźni, bądź rozkładowy wśród najściślejszego przymierza, a w końcu uczyniła nieuniknionem ostateczne zerwanie i ostateczną rozprawę.

*) Np. Kalinka w pracy: Królestwo kongresowe i związki tajne Przegląd polski, rok 1895.

Wiadomości bibljograficzne.

Heryng Zygmunt. Logika ekonomji, zasadnicze pojęcia ekonomiczne ze stanowiska nauki o energji. Warszawa, wydawnictwo Głosu, 1896, w 8ce, str. 312, IV i 1 nl.

Koneczny Felix dr. Dzieje Szląska, ozdobione licznymi obrazkami, zeszyt 2 i 3. Bytom G. Sz., 1897, w 8ce, str. 49—96 i 97—144.

Łoziński Bronisław dr. Infamia, studjum prawno-społeczne (Odbitka z Przewodnika nauk i liter.). Lwów, 1897, w 8ce, str. 203 i 1 nl.

Ulanowski B. Najdawniejsza księga sądowa miasta Biecza, (Odbitka z V. tomu Archiwum Komisji prawniczej Akademji umiej.). Kraków, 1896, w 8ce większej, str. 50.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie